

Jeden dzień z życia lasu

Jedziemy na akcję wilczą. Z okna samochodu widzę poranne, jesienne i delikatne mgiełki, które czynią krajobraz trochę nierealnym. Jeszcze wczoraj wieczorem patrzyłam, jak w górską dolinę wlewa się rudy strumień dogasającego słońca, a góry na horyzoncie przypominały mi dawno zapomniane sny.

W Krośnie chwila poszukiwań i w końcu widzę z daleka grupę ludzi pod budynkiem Urzędu Wojewódzkiego. Nad grupą – choć sporą – góruje wielka bryła, architektoniczne wcielenie urzędniczego koszmaru. Telewizje filmują, fotoreporterzy fotografują, dziennikarze łowią i nagrywają. Niby tak ma być, ale czuję się trochę jak w ZOO. Posmak sensacji staje się wyraźniejszy, kiedy przez chwilę trwa sprzeczka z policją. W zasadzie funkcjonariusze mają rację: są na służbie, ich obowiązkiem jest spisywanie uczestników pikiety. Zaczęli tę czynność w chwili, kiedy telewizje znikły, nikt nie nagrywał, a grupa ludzi spokojnie siedziała w holu Urzędu smutna i zamyślona nad 93 zniczami zapalonymi dla wilków, które mają zginąć. Nie mogłam się więc oprzeć myśli: o jakież to groźne przestępstwo jesteśmy podejrzewani? Czyżby najgroźniejszym, prowokującym natychmiastową reakcję służb bezpieczeństwa (czyjego?), było wyrażanie własnego zdania i niezgody na eksterminację dzikiego? Nigdy chyba bardziej niż teraz nie czułam się intruzem w ramach systemu zwanego państwem. Podobno i moim.

Intruzami jesteśmy także w holu Urzędu. Pracownicy wszystkich niemal szczebli są bardzo aroganccy, „Nahajami takich pogonić” – rzuca niby do kolegi, ale bardziej do nas przechodzący obok pan w garniturze i Z-Bardzo-Ważną Miną-Urzędnika. Przypominają mi się szkolenia, instrukcje i wydawnictwa z cyklu: „jak ekolog może współpracować z władzą” i szlag mnie trafia, bo wszystkie te szkolenia nie do nas powinny być kierowane. Najwyraźniej dla większości urzędników sytuacja jest jasna: oni są zarządcami folwarku, my – masą, która nie powinna mieć tu wstępu. No, chyba, że pojedynczo, kłaniając się czapką w pas i podejmując pod nogi. Jestem chyba nieuleczalnie naiwna, kiedy przez moment myślę: przecież ten Urząd jest chyba również dla nas? Czy to nie my przypadkiem posłusznie płacimy podatki? A może jesteśmy obywatelami wyłącznie wtedy, kiedy jednocześnie jesteśmy elektoratem?.

Kiedy wracamy do Nowego Sącza, słońce świeci mi prosto w oczy. Mijają mnie wielkie reklamy, za którymi jak zwykle nie nadążają moje oczy. Twarze młodych ludzi coś sobie z przejęciem opowiadających, staruszki przepelnione tą gorzką wiedzą wyniesioną z dziesiątków lat życia, dzieciaki ścigające się na rowerach i rzucające do siebie kasztanami, kobiety o twarzach wymalowanych napięciem, mężczyźni maskujący własną niepewność i kruchość pewnością siebie zabarwioną arogancją – życie kłębi się wciąż i nieustannie. Ale kiedy patrzę w kierunku lasów, których linia z roku na rok coraz bardziej się oddala, myślę z żalem, że o prawdziwym życiu wiem tak niewiele... Tracę coś, czego smak zaledwie przeczuwam. Żal miesza się z ponurym przygnębieniem, kiedy przypominam sobie tych nieszczęsnych funkcjonariuszy („My jesteśmy na służbie, myślę prywatnie po 14.00” – wariacja na odwieczny temat Ja Tylko-Wykonywałem-Rozkazy). Wyobraźnia płata mi figla i choć wiem, że to z jej strony trochę kiczowaty, efekciarski zabieg – wracają do mnie obrazy z wspomnianego przez TVP filmu „Zabriskie Point”: studenci w kampusie i policja naprzeciw!. Zaraz później kadry z filmu o Earth First!. Zaczynamy żyć w „normalnym” państwie, więc i u nas działalność w obronie dzikiego staje się dla władz oraz – czego przedtem nie było – lobby biznesowego coraz mniej wygodna.

Wieczorem słucham radia leżąc w łóżku z gorączką. Najpierw program o poezji. Julia Hartwig pięknie ubiera w słowa zwykłą podróż pociągiem. Bronisław Maj mówi o wrażliwości poety... Dość. Nie, dzisiaj nie mogę. Co mi po tej wrażliwości oderwanej od bolesnego poczucia, że coś nieodwołalnie odchodzi, zamyka się dla nas, brama zaczyna się zatrzaskiwać i zostaniemy w tym

świecie odarci z możliwości zanurzenia się po czubek głowy w prawdziwym życiu. Już od dawna nie umiem na to znaleźć słów, może łatwiej pomagać sobie dźwiękami. Zmieniam stację. Tu w audycji gości mistrz zen. Osobisty rozwój. Harmonia. Szczęście. Dzwonią ludzie, opowiadają o tym, jak odnaleźli harmonię, rozwijają się duchowo. Wyłączam radio. Dzisiaj trochę im zazdroszczę. Nie osiągnęłam spokoju, nie czuję się harmonijna. Nie dzisiaj. Boli mnie wszystko, świat, głowa, nie wiem, co z tym zrobić. Naciągam na głowę kołdrę.

93 wilki biegają w Bieszczadach, jeszcze nieświadome swego losu. Choć czasem wydaje mi się, że zwierzęta wiedzą lepiej, szybciej, bezpośrednio. Moja wyobraźnia, poczucie siły i pewności, moja kreatywność, radość z tego, że jestem, zostaną zubożone o 93 wilki. Ich po prostu nie będzie.

W nocy znów odzywa się sowa płomykówka zamieszkująca (chyba) strych sąsiedniego domu otoczonego przez grupę potężnych brzoź, dębów i świerków. Ona wie. A ja codziennie rano, patrząc przez okno drzę na myśl, że ktoś wpadnie na pomysł zastąpienia tej enklawy dzikości wśród bloków kolejnym supermarketem. Rzekomo bardziej potrzebnym ludzkości niż sowa płomykówka. A o ile uboższe będą nasze sny? Obawiam się, że tego nigdy się nie dowiemy. Lub dowiemy się za późno, by cokolwiek zmienić.

Anna Nacher

Wyobraźnia nie podsunęła mi rodzimych obrazków ze stanu wojennego zapewne dlatego, że uczyniono z nich martyrologię narodową. Sytuacja, o której mówię jednak chyba bardziej przypomina tę z amerykańskich uczelni końca lat 60.